

Głowiński, Michał

Biblioteka

Przegląd Pruszkowski nr 1, 82-91

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Prof. dr Michał Głowiński

*Tekst został opublikowany
w Gazecie Wyborczej z 10-
12 kwietnia 2004 roku;
stanowi on rozdział książki
p.t. „Kładka nad czasem,
obrazki z Miasteczka”,
która ukaże się nakładem
krakowskiego Wydawnictwa
Literackiego.*

BIBLIOTEKA



Uplasowała się w samym centrum, choć trudno powiedzieć, że przy głównej ulicy, bo takiej w Miasteczku w istocie nie było, albowiem aż trzy, a możliwe, że nawet cztery, miały dane, by aspirować do tej zaszczytnej pozycji. Założono ją w czasach, w jakie pamięć moja nie sięga, w owym z czułością wspomnianym i w mit przemienianym okresie, który wciąż nazywano „przed wojną”, bo nie tylko dla ludzi starszych, ale również dla urodzonych sporo później, „wojna” stanowiła cezurę najważniejszą, przy niej bladły wszelkie inne podziały lub w ogóle popadały w zapomnienie, z oczywistych powodów nie mogły się z nią równać. Wymawiano owo groźne słowo bez żadnych uściśleń i dopowiedzeń, tak jakby przytrafiła się ludzkości tylko jedna wojna w historii, wszelkie nieporozumienia były z góry wykluczone, słowo tak nasycone zostało treściami i emocjami, że wystarczyło wypowiedziane w pojedynkę. Wiadomo było, że nie chodzi tylko o konflikty tak odległe jak wojny punickie, nie brano pod uwagę nowszych, jak francusko-pruska, czy ta, którą szybko określono jako światową, a po upływie niespełna ćwierćwiecza dodano liczbę porządkową: pierwsza. Otóż właśnie: biblioteka, którą odwiedzałem w pewnych okresach dość często, istniała już w przedwojennych czasach.

Nie obdarzono jej specjalnym budynkiem, na tego rodzaju luksus nie było z pewnością stać władz Miasteczka, nie pojawiła się zresztą w zasadzie taka potrzeba, mówimy przecież o instytucji skromnej i niewielkiej, pomyślanej na miarę niezbyt licznej publiczności. Prawda, przydałaby się sala lektury, w której można byłoby przeglądać czasopisma i książki podręczne, przede wszystkim potężne i tak użyteczne tomy encyklopedii, czytelnik jednak nie był, funkcjonowała jedynie wypożyczalnia. Lokal nie został od razu tak pomyślany, by przyciągnąć bibliotekę. Mieściła się ona w czynszowej kamienicy, a przyznane jej schronienie pierwotnie miało być zapewne sklepem. Relatywnie dużym sklepem z właściwym miejscem sprzedaży i sporym zapleczem, w którym w znacznej obfitości mogły zmieścić się towary, stanowiło ono zatem miejsce doskonale na magazyn na książki. Nie wiem zresztą, jak wyglądało, bo dla nas, czytelników, było nieosiągalne, nie mieliśmy dostępu do półek, wyobrażam sobie, że nie różniło się ono niczym od wszelkich tego rodzaju pomieszczeń

w niewielkich publicznych księgozbiorach. Ale po stwierdzeniu, że pierwotnie był to lokal sklepowy, ogarnęły mnie wątpliwości. Brakowało bowiem witryny, w której właściciel mógłby wystawiać towary, by przyciągnąć klientów, były dwa skromne dwuczęściowe okna, nawet nie trójsegmentowe, jakie w zamierzonych przedwojennych czasach nosiły zwyczajowo nazwę okien weneckich, choć miały prawdopodobnie tyle wspólnego z Wenecją, co sznycel po wiedeńsku z Wiedniem. Mogło to być zatem zwykłe dwu- lub trzypokojowe mieszkanie dostosowane do potrzeb bibliotecznych. Wchodziło się doń bezpośrednio z ulicy po niewielkich schodkach, dostęp był łatwy, nie można było biblioteki nie zauważyć, idąc ulicą Kościuszki.

A jak przedstawiało się wnętrze? Określiłbym je jako proste, skromne, wręcz ascetyczne. Przestrzeń przeznaczona dla czytelników wymieniających książki, była niewielka, tak że kiedy równocześnie zbierało się ich kilku, powstawało wrażenie ścisku. Klienci ustawiali się wzdłuż lady, ogarniającej całą szerokość, dużych rozmiarów, to ona oddzielała miejsce przeznaczone dla nich od rejonu będącego królestwem pań bibliotekarek i, co oczywiste, półek wypełnionych książkami mniej lub bardziej szczelnie. To właśnie na tej ladzie znajdowały się katalogi ułożone w porządku alfabetycznym. W małym formacie, spięte metalowym łącznikiem, zawierały wypełnione ręcznie karty, przynoszące podstawowe składniki zapisu bibliograficznego oraz sygnaturę. Czytelnicy mogli brać je do ręki i szukać pozycji, po które przyszli. Dzisiaj tego rodzaju katalogów nigdzie już chyba się nie stosuje, należą do archaiki, a gdyby powstało muzeum bibliotekarstwa, powinny się w nim znaleźć jako cenne świadectwo przypominające, jak to się ongiś w bibliotekach pracowało. Nie wszyscy jednak z katalogów korzystali, niektórzy sztuki tej nie posiadli, w wielu wypadkach była ona po prostu niepotrzebna, bo panie bibliotekarki doskonale nad księgozbiorem panowały, wystarczyło podanie nazwiska autora i tytułu, a niekiedy nawet samego tytułu, amatorzy kolejnych ogniw *Trylogii* po katalog sięgać nie musieli. Nierzadko zdarzało się zresztą, że czytelnicy, zwłaszcza ci mniej doświadczeni i mniej wybredni, prosili bibliotekarki o poradę bądź zdawali się na ich gusta. Zwłaszcza panie prosiły o „coś lekkiego”, a kilkunastoletni

chłopcy chcieli dostać „coś z przygodami” lub – najczęściej – „coś z Dzikiego Zachodu”.

Pamiętam, w jakich okolicznościach i w jakim celu zjawilem się w tym przybytku ksiąg po raz pierwszy. Rzecz działa się tuż po wojnie, byłem uczniem szkoły podstawowej czy raczej – jak się jeszcze wówczas mówiło zgodnie z przedwojennym zwyczajem – szkoły powszechnej, lub całkiem potocznie: powszechniaka. Skłoniła mnie do tej wizyty nie miłość do drukowanego słowa, ale konieczność. Pani od polskiego poleciła przeczytanie klasycznej noweli, jej przedmiotem były przytłaczające swym smutkiem wydarzenia, chodziło o jedną z tych najbardziej znanych opowieści, jakimi męczyło się dawniej i męczy wciąż nieszczęsne dzieci, nie pamiętam jednak o którą. Była to może *Nasza szkapa*, może *Antek*, może mój niemal imiennik *Michałko*. Nie wiem, wiem jednak, że lekcję odrobić chciałem, choć uczniem byłem nader nieprzykładnym, mającym opinię nie tylko niezbyt zdolnego, ale również leniwego, wyzbytego wszelkich ambicji i zainteresowań, ospalego. Mało obowiązkowy i do nauki mocno niechętny, zacząłem jak zwykle myśleć o wykonaniu tego zadania w ostatniej chwili. I natrafiłem na trudności, książki nie było w domu, nie miałem od kogo jej pożyczyć. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy sam wpadłem na ten pomysł czy ktoś udzielił mi rozsądnej rady: udałem się do biblioteki. Było jesienne a może już zimowe popołudnie, szarawo, zmierzch przemieniał się w noc ciemną. W części przeznaczonej dla czytelników zrobiło się ludno i gwarno, zgromadziło się sporo chętnych, pragnących wymienić książki, by lekturą zapelnąć pustkę prowincjonalnego wieczoru, wyzbytego urozmaiceń i atrakcji. Jedni prosili o odpowiednią rzecz panią bibliotekarkę, inni przerzucali katalogi, by znaleźć pozycję, która mogłaby ich zadowolić. Spieszyło mi się, swym skrzekliwym, chyba przechodzącym już wówczas mutację, głosem, chcąc przebić się przez ogólny szum, zapytałem, czy jest *Nasza szkapa* (albo *Antek*, albo jeszcze coś innego). Usłyszałem, że nie ma, bo wszystkie egzemplarze wypożyczono, ale też zostałem skarcony: zawracasz głowę w czasie, w którym jest tak duży ruch, a nie wypożycza się książek tym, co nie są zapisani i nie należą do stałych abonentów. Wybiegłem jak niepyszny, następnego dnia

zaś poszedłem do szkoły nieprzygotowany, pani od polskiego na szczęście do odpowiedzi mnie nie wywołała. Sądziłem, że w tak antypatycznym miejscu jak biblioteka nigdy już się nie zjawię. Po pewnym czasie, niezbyt długim zresztą, radykalnie zmieniłem zdanie, stała się ona jednym z najczęściej przeze mnie odwiedzanych punktów Miasteczka. A kobieta, która przy pierwszym zetknięciu tak ostro mnie potraktowała, okazała się osobą całkiem łagodną i dla czytelników łaskawą. Szybko się zorientowałem, że była kierowniczką i na imię miała Paulina (jak brzmiało jej nazwisko, nie wiedziałem wówczas i nie wiem do dzisiaj).

Personel tworzyły trzy kobiety. Panią, która urzędowała na zapleczu i zapewne zajmowała się kupowaniem nowych książek i ich katalogowaniem, widywaliśmy rzadko, od czasu do czasu, bo nie miała w zasadzie kontaktu z czytelnikami, obsługiwała nas bowiem wyłącznie w sytuacjach awaryjnych, wówczas, gdy panią Paulinę zmogła choroba lub jakieś inne losu przypadki nie pozwalały przykładownie zjawić się w pracy. Nie można było nie dostrzec trzeciej kobiety, mówiono o niej Kalisiakowa bądź Władzia, bez żadnych formuł grzecznościowych, mimo że nie należała do osób pierwszej młodości, była w wieku swoich koleżanek lub nieco od nich starsza. Ale czy słowo „koleżanki” jest tu odpowiednie? Obie panie bibliotekarki nie traktowały jej jak równej, w przeciwieństwie do nich nie była damą z inteligencji, nie miała matury, jej edukacja skończyła się zapewne na niższych klasach szkoły powszechnej, w tamtej odległej już epoce wymagano niewiele, obowiązek szkolny obejmował lat zaledwie kilka. Pracowała jako sprzątaczką i – być może – magazynierką, której zadaniem było przynoszenie zamawianych książek. Czytelnicy widzieli ją nieustannie. O dobrotliwym wyglądzie, tęga, niezbyt wysoka, uśmiechała się do nich, zagadywała zwłaszcza dzieci. I przede wszystkim wciąż się krzątała, ścierała kurze z książek, głównie zresztą tych, które nie miały szczególnego powodzenia, zalegając na półce od dawna, nietknięte przez miesiące a może nawet lata niczym ręką, ale także wszędzie tam, gdzie pojawiły się jakiegokolwiek niepożądane pyły, zbierała błoto z podłogi, наносzone zwłaszcza w śnieżne zimowe dni. Nie zrażało jej, że tak dokładnie

wyczyszczona podłoga po chwili znowu stawała się domeną brudu, bo przybywali nowi czytelnicy, a wraz z nimi pokłady osiadłego na butach topniejącego śniegu. Była w ciągłym ruchu, czemu sprzyjało i to, że pani Paulina prosiła ją często o pomoc w obsłudze czytelników. Kalisiakowa umiała nie tylko ścierać kurze i wycierać podłogę, biegła była w tym także.

Tę jej sprawność dostrzeżono i doceniono. Dużo się wówczas mówiło o awansie społecznym; miał on polegać na tym, że tak zwanym pracownikom fizycznym powierzano funkcje tak zwanych pracowników umysłowych. Na ogół ów awans dawał rezultaty oplakane, tym razem jednak okazał się nad wyraz fortunny. Władzia Kalisiakowa, zgodnie ze swymi niewyuczonymi, ale świetnie opanowanymi kwalifikacjami, podniesiona została na stanowisko bibliotekarki. Choć nie poinformowano o tym czytelników, każdy gołym okiem dostrzegał, jak wielka zaszła tu zmiana. Widoczna ona była nie tylko w tym, co ta kobieta robi, również w jej wyglądzie i zachowaniu. Zmieniła fartuch, także i pod tym względem stała się równa obydwu paniom, prowadzącym bibliotekę. I zaczęła nosić zegarek, którego przedtem nie używała, tak jakby sądziła, że się klóci ze ścierkami i szczotkami, stanowiącymi dotychczas główne narzędzia jej pracy, być może traktowała go jak symbol swojej nowej kondycji, oznakę statusu. Zmieniły się też formy mówienia i do niej, i o niej. Odeszła Władzia, odeszła Kalisiakowa, narodziła się pani Władysława i pani Kalisiakowa. Nikt już, nawet szefowa, nie pozwoliłby sobie zwracać się do nowej bibliotekarki tak jak dawniej. A z jej twarzy promieniowało zadowolenie połączone z dumą. Jeśli na podstawie luźnych i czynionych od przypadku do przypadku obserwacji można o kimś powiedzieć, że jest szczęśliwy, to ta prosta, bystra i pracowita kobieta była właśnie szczęśliwa.

Nic takiego nie malowało się na obliczu pani Pauliny, zawód bibliotekarki nie był dla niej przedmiotem dumy, ale też zapewne nie skłaniał do niezadowolenia, traktowała go jako rzecz naturalną czy oczywistą, no bo żyjemy w takich czasach, że każdy gdzieś pracować musi. Wydawała się osobą, kryjącą doniosłe tajemnice: chciałaby o czymś powiedzieć, ale z jakichś mniej lub bardziej nieznanых powodów

uczynić tego nie może. Niekiedy robiła takie wrażenie, jakby tylko częścią swej postaci, tą skromniejszą i mniej ważną, znajdowała się tutaj, w pomieszczeniu, w jakim przyjmowała zwracane książki i na ich miejsce wydawała inne, duch zaś szybował w odległych rejonach, a myśli nie były bezpośrednio związane z tym, co robi, zmierzały ku temu, co dalekie i nieznane. Zwracało uwagę, że pani Paulina coś szepcze czytelnikom, które przychodziły wymienić książki, a były jej prywatnymi znajomymi. Wypowiadane przez nią zdania brzmiały tak, jakby stanowiły złożone z jednego słowa lub najwyżej dwóch komunikaty z placu boju:

- napisał
- zmienił adres
- żeni się

Nie zawsze jednak powiadomienia owe były tak krótkie i zwarte, nie zawsze też miały charakter radosny, często wyrażało się w nich oczekiwanie połączone z troską i z niepokojem:

- Od dawna się nie odezwał, nie wiem, co się dzieje.

Ów szepc słyzały na ogół nie tylko osoby, do których pani Paulina bezpośrednio się zwracała, docierał także do uszu czytelników znajdujących się tuż za nimi. A wypowiadała te tak ważne dla niej oznajmienia głosem zciszonym zapewne nie dlatego, iż sądziła, że obowiązuje ją tajemniczość, jest zatem z różnych powodów zobligowana do dyskrecji. Przypuszczam, że chodziło o mówienie na stronie, które według starych i zacnych konwencji teatralnych niedostępne być miało dla tych, którzy znajdowali się w innym miejscu sceny. Ta odzywająca się co czas jakiś prywatność świetnie współzłyła z obowiązkami bibliotekarskimi, te dwa światy harmonijnie nakładały się na siebie; mówiąc o swoich sprawach osobistych pani Paulina sprawnie obsługiwała czytelników, bo i rozum, i wielkie miała doświadczenie. O ile dobrze pamiętam, to szybko zorientowałem się, co stanowi przedmiot tych szepcanych wypowiedzi na domniemanym poboczu niewielkiej bibliotecznej przestrzeni. Syn pani Pauliny pozostał na Zachodzie; wywieziony po Powstaniu, osiadł w Anglii, nie widziała go od momentu, w którym jako młody chłopak wyruszył na

barykady. I żyła jego sprawami, jej świat przekształcał się w jedno wielkie oczekiwanie.

Podjąłem zbożny trud przedstawiania wypożyczalni sprzed półwiecza oczywiście nie tylko po to, by przywoływać zapomniane postaci bibliotekarek, niewątpliwie od dawna nieżyjących. W pewnych okresach, zwłaszcza w końcowych klasach licealnych, zachodziłem do niej często. Zdarzało się, że chciałem zdobyć jakąś obowiązkową lub tylko zalecaną lekturę, na ogół jednak moje wizyty nie wiązały się ze szkołą, choć wtedy już czytałem gorliwie także to, co należało do licealnego kanonu (w moim roku maturalnym wprowadzono do niego jakieś socrealistyczne powieści, które zwykłą rzeczy koleją, utonęły w zapomnieniu, a nazwiska ich autorów mówią cokolwiek jedynie specjalistom), nie były to już znaczne utwory w rodzaju *Naszej szkapy*. Stałem się zapamiętałym czytelnikiem różnego rodzaju powieści, głównie zresztą klasycznych. A rzeczy układały się tak nie dlatego, że od swych lat najwcześniejszych miałem upodobania konserwatywne i gustowałem w solennej narracji realistycznej, w której wszystko jest wzorowo uporządkowane. Po prostu na te lata przypadło apogeum socrealizmu, wydawano powieści tak nudne, że czytelnika ogarniało ziewanie na sam widok książki, były to zarówno produkty rodzime, jak tłumaczone – przede wszystkim z rosyjskiego, tytuły ich mówią za siebie: *Węgiel, Stal i szlaka, Cement, Numer 16 produkuje*. Młodzi czytelnicy zwykle najchętniej poznają literaturę najnowszą, znajdującą się w stadium formowania, jeszcze nie ucukrowaną. Pewnie tak by było i w moim przypadku, gdyby wczesne lata moje, te, w których porzuciło się już utwory przeznaczone dla młodzieży i nawiązywało kontakty z prawdziwą dorosłą literaturą, przypadły na lepsze, nieco bardziej normalne czasy. Bez większego trudu pojąłem, że nie mam czego szukać wśród produkcyjniaków i innych propagandowych nudziarstw. Klasyków rodzimych, ale też francuskich i rosyjskich, czytałem z takim zapalem i ochotą jakby byli pisarzami współczesnymi i w pełni aktualnymi. Trzeba lojalnie przyznać, że wówczas wydawano sporo ich utworów, w bibliotece nie brakowało zresztą wydań starszych. Doskonale już wtedy wiedziałem, na jakie studia się wybiorę, decyzję podjąłem wcześniej, w czasie, kiedy zdobycie

indeksu było jeszcze zadaniem odległym, budzącym zresztą różne niepokoje. Te moje łapczywe lektury klasycznych powieści miały się w latach następnych okazać nader przydatne.

Pamiętam wypożyczone z naszej miasteczkowej biblioteki książki również jako przedmioty. Tylko nieliczne były solidnie oprawione, fundusz przeznaczony na ten cel zapewne zawsze był niewielki. Ogromną ich część obleczono w szary, bardzo sztywny pakowy papier, a na grzbietach wypisane były wyraźnie czarnym tuszem sygnatury. Obłożenia takie nie mogły się oczywiście równać z oprawami, ale jednak choć trochę książkę chroniły. Liczne egzemplarze, zwłaszcza te sprzed wojny, były mocno zniszczone, rozlatywały się, odciskały się na nich wieloletnie brudy niemytych rąk, strony były tak tłuste, że – jak ktoś orzekł – można na nich ugotować rosół. W stanie degrengolady ostatecznej lub prawie ostatecznej znajdowały się zresztą nie te pozycje, po które sięgałem, one należały do rzadziej wypożyczanych i nie wchodziły w nieustanny obieg. Szczególnemu zniszczeniu ulegały tomy najbardziej poszukiwane, a więc romanse i rzeczy mieszczące się w kategorii „coś lekkiego”, tym bardziej, że zaniechano wydawania takich powieści jako godnych potępienia wytworów burżuazyjnej pseudo-kultury, a dydaktyczne historyjki o wydobyciu węgla, wytopie stali czy produkcji cementu jako żywo lekkością się nie odznaczały (choć pozbawione były ciężaru gatunkowego). Dwie książki, które przeczytałem jako siedemnasto- czy osiemnastolatek (stały się one lekturami niezapomnianymi i najważniejszymi), były w stanie doskonałym, choć wydano je w latach trzydziestych. Myślę o *Ferdydurke* i *Braciach Karamazow*. Nie tu miejsce, by opisywać wrażenia z lektur sprzed ponad półwiecza, muszę jednak stwierdzić, iż fakt, że te właśnie książki znalazłem w niewielkiej małomiasteczkowej bibliotece, świadczy o niej jak najlepiej. Trzeba przypomnieć, że historia obchodziła się z nią względnie łagodnie. W czasach, o których opowiadam, nie byłem tego świadom, dopiero niedawno opowiedział mi historyk Miasteczka, że jej zbiory były dwukrotnie przedmiotem politycznej kontroli, i za pierwszym, i za drugim razem usunięto trochę pozycji. U progu okupacji uczynili to Niemcy, skazując na zniszczenie tomy,

które ocenili jako wrogie, po wojnie zaś zachowała się podobnie władza ludowa, usuwając ze zbiorów wszystkie pozycje, uznane za antykomunistyczne, przede wszystkim zaś – antyradzieckie. I jedni, i drudzy szukali czego innego, w obu przypadkach w czasie rewizji ucierpiało przede wszystkim piśmiennictwo polityczne. Literaturę na szczęście pozostawiono w spokoju.

Z biegiem lat moje związki z biblioteką z ulicy Kościuszki rozluźniały się, w czasie studiów zaglądałem doń jedynie od czasu do czasu, na ogół wówczas, gdy spodziewałem się, że znajdę w niej potrzebną mi książkę, trudno dostępną w wielkich bibliotekach stołecznych, bo z konieczności zaczytują się w niej moi koledzy tak jak ja przygotowujący się do egzaminu. Później, choć przez lat kilka wciąż jeszcze mieszkałem w Miasteczku, w ogóle ją pomijałem, bo nie była w stanie zaspokajać moich potrzeb. Nie mieściła się przy mojej powszedniej trasie (dom – dworzec, dworzec – dom), ale gdy obok niej przechodziłem, lubiłem do niej zajrzeć, zwłaszcza latem, kiedy okna były otwarte. Mogłem ujrzeć panią Paulinę i Władzię przemienioną w panią Władysławę, które jak zwykle podawały książki czytelnikom, coś doradzały, niekiedy tłumaczyły, że jakiegoś tytułu nie ma. Nie tylko mój czas bieży jak szalony, obydwie zeszyły już dawno z bibliotecznej sceny, porzuciła ją także przed laty pani działająca za kulisami, pozostająca osobą tajemniczą. A mnie nie pozostaje nic innego jak piękna sztuka wspomnienia. O gdzież jesteście, małe biblioteki, z lat dawno minionej, zamierzchłej wręcz, młodości!?